N^ro 12.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 31 maja 1845. **Rok szósty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 17 maja 1845.

Stroje damskie. Do nowości które zasługują na uwagę naszych czytelniczek, należą kapelusze korunkowe, któreśmy zauważali od dni kilku, a które co do wytworności i elegancii celują między wszystkiemi innemi. Materia na tych kapeluszach jestto przezroczysta tkanina jedwabna w różnych odcieniach, a tak delikatna i lekka, jak najcieńsza korunka; kapelusze takowe podszywają się lekką jaką jedwabną materią, gazą lub tiulem, a mają jeszcze tę zaletę iż do wytworności kapeluszów materialnych łączą lekkość i wdzięk słómkowych. Zdaje nam się iż kapelusze korunkowe poszukiwane będą tylko przez wyższą klasę towarzystwa, gdzie też i utrzymają się długo; równie jak i kapelusze *à la duchesse* z włoskiej i innych słómek, które przez swoja formę całkiem odznaczają się od innych.

Z sukień letnich któreśmy dotąd widzieli wymienimy następujące: suknia z batystu nicianego, z niebardzo wysokim stanikiem marszczonym u góry; spodnica u tej sukni gładka, szerokim szlakiem haftowanym i szerokim w dole obrąbkiem przystrojona; rękawy półszerokie, u ramion podwójnie namarszczone. Do tej sukni fartuszek z glansowanego grodenaplu haftem i sznureczkami ozdobiony.

Suknia z jedwabnego kolorowego muszlinu; stanik wycięty w kształcie serca; przy spodnicy trzy szerokie falbany.

Suknia z jedwabnej materii, popielatego koloru, przez całą długość spodnicy roztwarta, a po każdej stronie rzędem guzików z perłowej macicy ubrana; stanik bardzo wysoko zachodzący na ramionach, a wprzodzie otwarty, także podobnież guzikami naszywany, rękawy półdługie: spodnica pod spodem z gęstego muszlinu całkiem gładka.

Suknia z materii koloru zielonego, z trzema szerokiemi korunkowemi falbanami, stanik gładki z bertą korunkową; rękawy półdługie.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli, dostatecznie widzieć można iż korunki jak były dotąd tak i nadal będą bardzo poszukiwane i modne; nie ma bowiem dziś prawie stroju, któryby się mógł obejść bez tego kosztownego a razem eleganckiego dodatku. Szczególniej zaś korunki axamitne prześlicznie wydają się na sukniach materialnych jasnego koloru.

Czepeczki zawsze małe i niebardzo na twarz zachodzące. Tiul karbowany, wstążki axamitne lub atłasowe, kwiaty lub drobne liście służą im zwykle za ozdobę.

Stroje męskie. Suknie do codziennego wyjścia są najczęściej kroju *à la française*. Przodki są o dwoch rzędach guzików i zaokrąglone. Klapy całkiem się wykładają, tak że piersi zupełnie są odsłonięte, zapinają się zwykle na guzik podwójny. Poły są krótkie ale nie tak wązkie jak dawniej.

Noszą też fraki *à la française* o jednym rzędzie guzików: przodki u tych fraków są albo całkiem zapinane albo też całkiem wyłożone.

Surduty mają stan długi, poły krótkie; a najzwyklej są czarnego koloru.

Kamizelki ulubione są tak zwane napoleońskie, z końcami zaokrąglonemi u dołu.

Spodnie noszą bez strzemionczek i faldowane.

Rycina przedstawia: suknię z krepy wełnianej na przodzie w sposobie fartuszka, garnirowanie z tej samej materii, stanik otwarty z pod którego drugi biały widzieć się daje, rękawy półdługie, czypeczek korunkowy kwiatami ubrany. Drugi szlafroczek z *gros d'Orleans*, po którym mantyla w sposobie rańtucha

wkoło haftowana, kapotka wstążkami i kwiatami ozdobiona. Trzeci szlafroczek z *poult de soie* w przodzie otwarty, nieżem z tej samej materii obszyty, na głowie ubiorek. Czwarty frak do przechadzki. Piąty surdut z długim stanem, spodnie w pasy i z lampasami.

Wspomnienie z podróży

PRZEZ

WINCENTEGO POLA.

II.

Ciąg dalszy.

Pare tygodni upłynęło od czasu znajomości naszej. Często bywaliśmy z sobą na przechadzkach, robiliśmy i większe wycieczki na okolicę, jadaliśmy u jednego stołu, czytywaliśmy nawet razem płynąc częstokroć statkiem po Elbie. Wiedziałem o tem że był malarzem, że był majętnym człowiekiem, znałem najskrytsze tajemnice jego serca, wszystkie najskrytsze jego myśli; a jednak nie przyszło mi nigdy zapytać się o imię i mieszkanie jego; i on zdasię także nieprzywiązywał wagi do tego. Instynktowo nieraz szukałem go i znajdowałem tam zawsze, gdzie mnie powiodło przeczucie; toż samo mawiał mi i on o sobie. Taki sam był jego stosunek do wszystkich prawie, kto go tylko znał w Dreźnie. Widywał się ze wszystkiemi, łatwo było wejść z nim w znajomość i zapuścić się daleko w rozmowę... dla wszystkich jednak, był równie znajomy i obcy, a nie żył właściwie z nikim. Spiewał prześlicznie, grał na fortepianie z wielką duszą, czytał wiele, malował, wiedział o wszystkiem niby, co się w świecie dzieje, wszystko co tylko wzniosłe i piękne, co tylko się w czasie zacnego budziło, porywało jego duszę. Nieraz był już przed wschodem słońca za miastem, nieraz, jak trubadur, przechodził piękną noc miesięczną z gitarą wręku, nucąc włoskie piosnki, czarowne piosnki Uhlanda lub rycerskie pieśni Körnera. Nieraz zasiadłszy z wieczora przy lampie, malował, pisał lub czytał noc całą. W istocie zaś nie wiedzieć kiedy pracował a kiedy spoczywał, i zdawało się że próżnował zawsze; raz zapomniał o śnie, drugi raz o jedzeniu, wiecznie roztargniety, wiecznie zamyślony, wpadał często w zapał, często w niemoc i otrętwienie chwilowe i podobał sobie w tym niestatku i w tej niesforności, nazywając życie takie, życiem plastycznem, życiem artysty. Dusza jego jednak była daleka od owej wzniosłej spokojności twórczego geniuszu, bo go trawiła niszcząca namiętność: miłość nieszczęśliwa, i jak grzech pierworodny cięży na człowieku, cięźył jeszcze smutek na jego geniuszu.

— Dla mnie nie ma odkupienia! bluźnił nie raz, bez pociechy patrząc w świat, garnął włosy od czoła, i bladł jak gdyby go mdłość napadała. Z taką twarzą wstąpił raz rankiem do pokoju mego. Na pierwszy rzut oka spostrzegłem że spędził bezsennie noc całą.

— Co ci to? zapytałem....

— Nic! rzekł mi obojętnie.

— Nic! nic! rzekłem... Jak i gdzie spędziłeś noc?

— Malowałem przy lampie....

— Coś smutnego zapewnie?

— Nie! prędzej coś wesołego, kiedym sam tak osmutniał; i rzucił mi list na stół... Czytaj, to list od mojej matki!...

— Co tu łez w tym liście! co tu serdecznej miłości dla mnie, matka mię zaklina abym do niej powracał, ja ją tak kocham, a jednak wracać nie mogę. Rzucił się na kanapę, zakrył oczy ręką i leżał długo milczący. O, gdybyś wiedział czemto dla mnie jest, ta macierzysta moja strona, rzekł mi po chwili, mój chłodny Hanower! te ciemne głębokie jeziora, stada łabędzi i północnego ptactwa na nich, te wsie i miasteczka po brzegach jezior, te stare dęby, zielone trawniki pod niemi, żagle po wodach... rankiem spuszczają się ku nim mgły Skandynawii; a nocą snują się nad niemi duchy Ossiana!...

— Gdybyś znał moją matkę, (jam jedynak u niej) to taka niewiasta, jakby żyła kiedyś przed wieki. Zdaje mi się czasem, iż muszę pochodzić z tego pokolenia, które gościło nad brzegami morza, na ucztach konchowych Fingala. Zdaje mi się czasem, że nad kolebką mojej matki, spuszczał się duch Ossiana, że nad nią brzmiała arfa Fingalowego barda: Ulina....

— Dom mojej matki stoi nad jeziorem, u wielkiej zielonej dąbrowy: obraz jego drzy po długich falach białym rąbkiem, a te fale rozchodzą się wielkiemi kręgami i płyną, aż do serca mego! Widzę jeszcze dotąd matkę stojącą nad brzegiem, w chwili pożegnania, kiedym skoczył w łódkę, wyrywając się z jej objęcia, a łódź wesoła odbiła od brzegu. Matka rzuciła jeszcze chustką za mną, i jej chustka spłakana, nie padła w jezioro, lecz zawisła na łodzi. Chustkę tę kładę na mem sercu kiedy bardzo boli, a ból się uśmierza. Ja rozwinę ją, jak flagę, kiedy znowuż na tej łodzi powracać będę do domu, a matka przeczuje mój powrót i pozna już zdaleka łódź moją po znaku... Krótsza droga prowadzi wodą przez jeziora do domu naszego, słyszę już bełkotanie żagla nad moją głową, widzę już matkę nad brzegiem stojącą, widzę jak się rozkoszne kręgi roztaczają dokoła łodzi po jeziorze, i

słyszę tę ostatnią szczęśliwą falę, która mnie z szumem na brzeg wyrzuca w objęcia mej matki!...

Rzucił się powtórnie na kanapę i płakał cicho i długo. Potem uspokoił się i dobył z pularesu list.

— A tu list drugi z Polski! od niej! w którym mnie zaklina żebym na nią tutaj czekał w Dreźnie, w którym mi robi nadzieję że tego jeszcze lata będzie w Karlsbadzie. Mogęż odjechać kiedy mnie zaklina? Mogęż tu zostać kiedy matka wzywa? I myślisz może że już koniec na tem? O! nie, jest tu jeszcze list trzeci od mego mistrza Korneliusa z Rzymu, w którym mnie wzywa, żebym się obliczył z bogiem i sumieniem, żebym niezapomniał co jestem winien sobie i sztuce, i nakazuje mi powagą mistrza powracać do Rzymu.... Te trzy listy, to trzy goździe, któremi jestem do krzyża przybity, a co najgorsza, że nie czuję w sobie siły rezygnacii, że nie umiem się wyrzec niczego, że nie umiem uledz memu przeznaczeniu; przeciwnie: mój szatan budzi się silnie we mnie i zerwałbym się chętnie, gdybym mógł, z tego krzyża, i wydałbym wojnę niebu dla tego tylko, bo czuję, żem go niewart....

— Ktoś z moich znajomych wszedł do pokoju i przerwał naszą rozmowę: rad byłem temu, bo znając gwałtowność fantastycznego mego towarzysza lękałem się o zdrowie jego....

— Jakżeś trafił do pomieszkania mojego? zapytałem go.... Rzecz to zabawna, rzekł mi; garson, z tego hotelu, gdzie zwykle jadamy, przyprowadził mnie tu; lecz istotnie zabawnie to było, bo kazałem mu się prowadzić, nie wiedząc sam dokąd i do kogo?... więc długo trwało nim mnie zrozumiał....

W tej dopiero chwili poznaliśmy się po imieniu, a że mnie odwidził, więc miałem prawo żądać po nim, żeby mnie zawiódł do swego pomieszkania.

Na odległem przedmieściu, pośrodku pięknego ogrodu, stał piękny samotny dom za ozdobnemi sztachetami. Mój towarzysz zadzwonił, i po chwili wybiegła prześliczna szesnastoletnia dziewczyna: smukła, biała, blondynka, oczy miała niebieskie, kwiatek na głowie, mały szary fartuszek przed sobą; otworzyła nam prędko furtkę ogrodową, i skłoniła się z tą miłą uprzejmością, która wszystkie cechuje Saxonki.

— A cożto, zapytała troskliwie, pan dotąd jeszcze bez śniadania? wyszedłeś tak rano z domu, a możeś nie nocował wcale?...

— Proszę moje dziecię o śniadanie dla nas, rzekł jej z łagodnym uśmiechem. My pójdziem do ogrodowej altany.

— Cożto za piękny model? zapytałem mego towarzysza. Jestto córka mojej gospodyni, bardzo dobre dziecko. Chociaż na próżno szukałbyś tej poezii w jej duszy, która przemawia z tych oczu; ona nic nie wie o tem jak wygląda; jest to niewinne dziecko, któremu bóg dał wszystkiego pod miarę, jak całej Saxonii. Życie jej upływa cicho, jak spokojna woda, a wysnuwa się pracowicie jak śnieżna nitka z kądzieli. Serce bije w tej istocie, jak w zegarze, jednostajnie i spokojnie: na godziny liczy dzień, dnie liczy po pracy, po wesołych zabawach z przyjaciółkami i wytchnieniu liczy święta i niedziele; a lata po zielonych wiosnach. Mnie daje widok takiej istoty spokojność, a jedynem jej zmartwieniem jestem ja podobno, bo martwi się bardzo i mojemi smutkami i mojem życiem bez ładu....

Ogródek który dom i altanę ogrodową otaczał, był jak wszystkie saskie ogródki niewielki, czysty, pełen kwiatów i woni, drzew nie wiele, chłodniczek mały, kilka kanapek zacienionych krzewami, i duża altana opięta winem. Rozpięte powoje, kwitnące akacie i pnące się róże, okrywały ściany domu od strony ogrodu. Przed jednem dużem weneckiem oknem, biła mała fontanna, i wody jej zbierały się w kształtnej sadzawce poniżej, do której kamienne spuszczały się schody; dwa łabędzie pływały po wodzie i mała gondola stała u brzegu, upięta na wici; dwie papug siedziało na berłach przed głównemi drzwiami od strony ogrodu, a kilka klatek z ptaszkami wisiało po drzewach. Na trawniku pasło się kilka białych królików, a duża, czarna, zwierciadlana kula, zapięta śród trawnika na ozdobnym trójnogu, odbijała dziwacznie te drobne widoki sztucznej natury. Wszystko razem robiło bardzo ciche i łagodne wrażenie na umysł, komtrastując bardzo z duszą burzliwego artysty, który sobie to ustronie obrał za mieszkanie....

Po śniadaniu rzekł mi mój towarzysz. Teraz pójdźmy do mojej malarni! i poszliśmy do domu; lecz jakież było zadziwienie moje, gdym ze słonecznego ogródka przeszedłszy sień, wstąpił do ciemnego dużego salonu, oświeconego mdłem światłem lampy, która znać jeszcze od nocy paliła się ponuro przed obrazem zaczętym, który stał na trójnogu. Okiennice były jeszcze od nocy zamknięte; przez jedną tylko szparę przebijał się mały promyk słońca; jakiś dziwny, nie miły chłód był w pokoju i duszący odor lampy. Mój gospodarz obejrzał się po pokoju posępnie, jakgdyby mu znowu nocne widziadła stawały przed duszą. Tu nie miło, rzekł, poskoczył ku oknu, rozsunął firanki i oderwał okiennice. Słońce uderzyło nagle na pokój i teraz dopiero ujrzalem te wszystkie przedmioty wyraźnie które się tylko dziwacznie ćmiły przy świetle nocnej lampy.

Byłto duży, biały, mozaikowy salon, ozdobiony

sztukaterią u góry i u okien. Sprzętów nie było w nim wiele, lecz wszystko co było, było ozdobne a nawet wytworne i zbytkowne. Wewnętrzna ściana salonu była złamana w dwie niże, ozdobione greckiemi kolumnami. W jednej stało piękne łoże, w drugiej stała wanna marmurowa w kształcie wielkiej konchy. Ponsowe adamaszkowe firanki były u okien zawieszone; kilka starożytnych poręczowych krzeseł obitych ponsową trypą, ozdobionych złotemi rzeźbami, znajdowało się w salonie obok poważnej kanapy, a na jednem z nich siedział obok obrazu szkielet człowieka, na którym był zarzucony płaszcz purpurowy przez ramię. Nad marmurowym kominkiem było wielkie zwierciadło; chart angielski leżał na poduszce przy łóżku, a nad łóżkiem wisiał zamszony wieniec z kwiatu. Wszystkie prawie ściany były ozdobione olejnemi obrazami różnego wieku i pęzla; kilka zaczętych obrazów nawpół lub zupełnie ukończonych, stało bez ram na ziemi, opartych o ścianę. Na małych stoliczkach rozstawionych po pokoju nie równo, leżały nałożone palety i pęzle; na jednym wielkim stole, przy którym stało lekkie małe krzesełko, leżały w nieładzie xiążki i papiery. Na łóżku leżała gitara, na kanapie lalka z utrefionemi włosami, mająca kształt pięknej kobiety, na środku prawie pokoju stał otwarty fortepian. Słowem byłto bardzo piękny ale dziwacznie urządzony salon i widać to było, iż służył za pomieszkanie i do pracy, że był razem sypialnią i łazienką, kancelarią, malarnią, salą do muzyki, pokojem bawialnym; szczęście było dosyć miejsca na to wszystko.

Gdy nas owiało świeże powietrze słonecznego świata przez otwarte okno, przed którem biła w ogrodzie fontanna, odetchnąłem nieco swobodniej i zapytałem coby znaczył ten gość z tamtego świata, tak poważnie siedzący na ponsowem wyzłoconem krześle?...

— Ach! to jest wielkie nieszczęście! rzekł mi smutno; świat żąda po nas biednych malarzach dwoch rzeczy, które pogodzić trudno. Żądają po nas natchnienia poety i znajomości anatomii ciała ludzkiego, tak doskonałej, jaka jest nieodbicie potrzebną do chirurgicznych operacij, a tu gdyby można nawet być razem poetą i chirurgiem, trudno się jeszcze spotkać z malarzem, dla którego nie wystarcza jeszcze ani eter poezii, ani widok jatki i sali obdukcijnej. Od kilku lat pracuję nad anatomią, i czem więcej ją zgłębiam, czem lepiej ją pojmuję, tem się czuję nieszczęśliwszym. O! życie artysty jest męczarnią o której świat nie ma nawet przeczucia! Ja mam tchnąć życie na płótno, mam odkradać piękność niebu, duszę aniołom, mam zapalać, uszlachetniać serca; a mnie ostudza tylko wszystko, bo ta sama ręka która zapala iskrę życia w oku i ożywia jak Pigmalion głazy, trzymała skalpel przed godziną nad trupem, aby się dowiedzieć wiele błon oko pokrywa i co się szkli w tej soczewce oka. To jest męczarnia! bo tylko bóg jeden mógł tworzyć i wiedzieć o tem, co i jak tworzy; dla człowieka jest to torturą, ztądto się budzi szatan w artyście, ztąd obok natchnienia i zapału jest ta gorżka ironia w życiu i w sztuce. Ja mam tchnąć życie na płótno, a muszę rozprawiać się z pokojem o stosowne światło, z dniem o pogodę, z poetą o myśl, z filozofem o duszę, z estetykiem o układ obrazu, z historykiem o tajemnicę dziejów, z chemikiem o farby, z anatomem o muszkuły i kości, a teraz przybyła jeszcze i frenologia i cyrkłem każą mi mierzyć różne wypukłości czaszki; i to najmilsze ze wszystkiego jeszcze, że same malarstwo, jako sztuka, ma znowuż insze i zupełnie odmienne pretensie, bo to wszystko nie da mi ani rysunku, dla którego wzorów trzeba szukać gdzieś daleko w naturze, gdzieś głęboko w duszy, bo to wszystko nie da jeszcze kolorytu, dla którego wzorów potrzeba szukać w ruchomej sferze muzycznych tonów, bo to nie da jeszcze mieszaniny i zlania się kolorytu którego tajemnica leży w uczuciu. O! to jest prawdziwa ironia! ja mam tchnąć życie na płótno; a spędzam nocy bezsenne w towarzystwie szkieletu tego, lub takiej trefionej lalki....

To mówiąc podjął błękitny płaszcz który leżał na ziemi i okrył nim na kanapie leżącą lalkę....

— Spij moja gracio!

Potem podniósł zlekka kościotrup na krześle siedzący; kości zachropotały w stawach, a on złożył go w marmurowej wannie, okrył ją purpurowym płaszczem i rzekł:

— Spij mój mentorze!...

III.

Z obrazów które zdobiły ten salon zajął mię szczególniej widok morskiej sceny. Byłto Bajron płynący z Sestos do Abidos. W dali nikły w równej odległości oba brzegi europejskiego i aziatyckiego lądu, i zdało się że śmiały pływak, jak drugi Leander, przepłynął dopiero pół drogi do mety, chociaż go na zamkowej wieży nie czekała Hero. Głowa cała, szyja, pół piersi i jedno ramię wychyliły się śmiało z fal morskich. Pierś była mocno wysklepiona, widać że sobie przez chwilę odpoczywał w miejscu, że rzuceniem głowy na strony, rozrzucił perły dokoła, odkrył genialne czoło i utrefił włosy; po chwilowem wytchnieniu rzuca się znowu na znak i garnie śmiałą ręką fale. Wyraz genialnej twarzy i myśli Bajrona,

był tak szczęśliwie oddany, że się ani na chwilę nie można było pomylić w jego osobie. Koloryt grających do koła fal zapowiadał już niby świat i lato Grecii, a roskosznie bujał w tym żywiole pływak, niby delfin morski, albo syn starej Hellady, tak pewny siebie, jakgdyby wzrósł na morzu albo na małym greckim ostrowie. Oczy jego były wzniesione ku niebu, lecz nie mierzył on niemi, ani sklepienia wschodniego błękitu, ani szukał tego co tam wyżej jeszcze nad lazurem niebios; ale urągał szydersko orłu, który nisko nad nim zawisnął, jak nad łupem swoim, czekając niby, rychło mu zdobycz swoją wyda morze. Śmiało mierzyli się okiem, a wzrok Bajrona zdawał się mówić z pogardą, »precz mi nikczemny latawcze! gdzie ty bywasz, tam i ja bywam i wyżej od ciebie; ale gdzie ja przebywam stale, gdzie ja żyję, tam nie był jeszcze żaden z was orłów i żaden z śmiertelnych!...«

Obok tego obrazu wisiał drugi równej wielkości, podobnego kolorytu, także wyobrażający scenę morską i wielkiego poetę płynącego śród fal rozhukanych.... Byłto Kamoens, w chwili rozbicia okrętu, unoszący swój poemat w jednej ręce na zwitkach pargaminu, a drugą garnący od piersi natarczywą falę. Na twarzy jego malowała się spokojna odwaga, którą tylko ta myśl mącić się zdawała: żeby nie uronił najdroższego skarbu swojej duszy. Dziwnie kontrastował wyraz jego twarzy z wyrazem Bajrona: w obydwoch malowała się wyższość duszy; na twarzy jednak hardego lorda był wyraz nieunoszonej namiętności, kiedy twarz Kamoensa mówiła, że się złamał z nią i umie panować nad sobą. Twarz Kamoensa była wyższą o całą religijną rezygnacię od twarzy natchnionego męczennika poezii i spiewaka cierpień bez pociechy.

Nad łożem malarza, powyżej zeschłego wieńca kwiatów, był umieszczony jakiś portret młodej kobiety, zakryty czarną gazą. Byłto portret pięknej Polki, której nazwisko pozostało dla mnie podziśdzień tajemnicą.

Prosiłem aby zdjął zasłonę. To jej portret! rzekł mi; nie zdejmę tej zasłony, dopóki jej nie ujrzę. Ten obraz zrobiłem z natury, więc go nie pokażę bez zasłony... lecz tu ją masz z pamięci! i wskazał na inny obraz... Nie mogąc się pocieszyć po jej odjeździe, nie spocząłem póty, dopókim jej czarownej postaci nie odlał na płótno.

Spojrzałem na obraz w którym się trzy żywioły artystycznie zlały: miłość, niebo Skandynawii i poezia Ossiana.

Byłato piękna Malwina, córa sędziwego barda, królewska wnuka Fingala, siedząca na skale z arfą w ręku, obok ojca wspartego na królewskiej dzidzie. Na zachodzie chylił się miesiąc poza ciemne lasy, od wschodu uderzał pierwszy promień zorzy rumianej. W oddaleniu widać było pomiędzy skałami jezioro i pole pobojowiska, a po mogiłach gryzły mech jelenie. Zawoje mgły lekkiej zawisły nad skałami i nad głową Malwiny, a śród nich kryły się i nikły święte cienie mężów Morwenu w boju poległych. Znać pieśni słuchały przez noc całą, i wracają teraz na chłodny odpoczynek, zasępieni wspomnieniem pominionej sławy.... Arfa też Malwiny umilkła, i stary Ossian pochylił smutkami ociężałą głowę. Widaćto było po obojgu, że bezsenną noc spędzili, owiani wspomnieniem i tchem bohatyrów. Starcowi zaciężyło ciało o świcie; ale w postaci Malwiny nie znać było utrudzenia, cała jej istota była przezroczystą prawie jak mgła nad jeziorem, jak cienie na posłaniu chmur, jak pieśni Ossiana. Miała coś eterycznego w sobie i lekkiego, jak te ostatnie tony które z arfy uleciały. Jedną połową swojej istoty i postawy, którą xiężyc blado i chłodno oświecał, nie zdawała się należeć do ziemi; drugą, którą różana zorza osypała wdziękami życia i młodości, czarowała sercem. Blada twarz i śrebrna broda Ossiana pływała cała w świetle xiężyca, bo się odwrócił od rumianej zorzy i Malwiny, i gonił myślami wspomnienia, chyląc się jak ten xiężyc ku ziemi i tęskniąc do grobu....

— A teraz, rzekł mi malarz; gdyś już ten obraz opatrzył, nic więcej tu już widzieć nie warto! Więc pójdźmy z tąd dalej »i rozpacz szczęściem być może!«

IV.

Nazajutrz rano, ledwo że się słońce zpoza gór wychyliło, na które był widok z mych okien, otworzyły się drzwi, i do pokoju wszedł mój miły towarzysz, z małym tłómoczkiem na plecach, z laską podróżną w ręku i cygarem w uściech. Ubieraj się! rzekł mi, dzień piękny, zwidzimy kawał saskiej Szwajcarii.

Dobrze! rzekłem, i miło przypomnieć te czasy w którychto tak z łatwością i bez żadnego namysłu i przygotowania, można było wziąwszy laskę w rękę, wyruszyć w świat na pierwsze wezwanie, niemyśląc dokąd? po co? na jak długo?... nie żegnając się z nikim, nie mając nic do załatwienia, żadnej obawy, a wszystkie nadzieje przed sobą, jakie tylko młodość daje i świat szeroko rozłożony i otwarty szeroko przed młodą duszą! Pusto było jeszcze na ulicach Drezna, gdyśmy się już ujrzeli za miastem. Dzień był prześliczny, maj na niebie, przed świtem przekropił deszcz mały, ochłodził powietrze, a świeżo, wesoło i zielono leżał świat przed nami! Umysł nasz był ożywiony,

lekko oddychały piersi, smutek pozostał niby w mieście gdzieś daleko przed nami, wiejskie widoki i twarze przesuwały się około nas i sporo ubywało drogi. Dwie mile dopiero za miastem piliśmy kawę u miłych ludzi, w ogródku, pod gołem niebem... a potem w świat dalej a dalej! i tak dzień cały i drugi i trzeci... Każda gospoda była wyborna, wszystko co nam podano, było dobre... każdy żart miły, każdy widok czemsić zajmujący, każda przygoda pożądaną, każdy spoczynek pokrzepiający... bo mieliśmy to z sobą, co niejednemu tak bardzo zawadza w jego podróży, czegoby się niejeden europejski włóczęga rad pozbył... bo mieliśmy samych siebie!

On ciskał szkice na papier; ja poczynałem wówczas nucić sobie pierwsze piosnki; czego on niedorysował w swych szkicach, to dopowiedziała mi twarz jego; czego on niemógł zrozumieć w mych pieśniach, tego domyślał się po ich nucie. Zdało się nieraz żeśmy się najlepiej rozumieli wówczas, gdyśmy nic niemówili do siebie, idąc obok siebie... to już dziś i zrozumieć trudno; a przecież tak było!... Jest w młodych duszach pewna sympatia, pewny tajemny magnetyzm, który w poźniejszym wieku niezręcznie tylko zastępują słowa.

Takto szliśmy milczący obok siebie, niemyśląc zkąd i dokąd... noc była ciemna, cicha i ciepła, za lekkiemi chmurami przesuwały się gwiazdy ponad nami... przed nami bieliła się droga, a obok nas szumiał pomiędzy skałami nagły górski potok; czasem pierzchło coś zpod nóg naszych, w trawę, na stronę... czasem poderwał się świecący robaczek jeden i drugi i trzeci zpod ciemnego krzaku, poznaczył jasne cętki i rąbki i szlaczki po ciemnem tle nocy i zginął znowu gdzieś w krzaku; czasem odbiła się gwiazda pod nogami w potoku i zadrżała i popłynęła z wodą. Piękny Luat biegł na staję przed nami i stawał co chwila, i nadsłuchiwał czujnie czy się co gdzie nieruszy? czy za nim idziemy, a my, szliśmy ciągle dalej, choć pono już było zpółnocy.

Nagle skręcała się droga, a na jej zawrocie ujrzeliśmy na stromem brzegowisku skały, nad sobą, kościoł wiejski... noc była tak ciemna, iż się zaledwo odznaczały na tle nieba zewnętrzne liście kościoła i kościelnej wieży; a właściwie poznaliśmy, że to kościoł, tylko po konturze długich, gotyckich okien, które oświecone były od środka. Przed wielkim ołtarzem paliła się nocna lampa i gasła i buchała światłem na przemian, co chwila, rozświecając sklepienia wyniosłe. Niby oddech tego mistycznego światła, zajął nas dziwnie: bo kiedy się ćmiło, chwytały ciemności za oczy; a kiedy znowu na chwilę silniej rozświecało sklepienia, odrzynały się piękne kontury okien z całą starożytną rzeźbą gotycką, bardzo wyraźnie, na ciemnem tle muru....

Dokończenie nastąpi.

Do Helenki.

Siostrzyczko moja! zawcześnie twa główka
Marzy coś i buja we śnie;
Zawcześnie w rymy wiążą się twe słówka,
I serce puka coś wcześnie.

Zwolna, o zwolna do lotu się zrywaj,
Słodka ty nasza ptaszyno!
A bogu tylko piosnki twoje spiewaj,
Bo niebo twoją krainą!

Nieskalaj niczem świętego zawodu,
Nędzne dowcipy ztłum w sobie,
Pomnąc, żeś córką wielkiego narodu
I urodzona w żałobie.

Kochaj i słuchaj! to niech będzie godło
Helenko na wiek twój cały;
Kochaj i słuchaj, a będzie w tem źródło
Szczęścia, mądrości i chwały.

Dziecię-poeto! dziecię mojej ziemi,
Tulę cię w serce me bliźnie;
Więcej cnotami niż pieśniami swemi
Zasłyń nam kiedyś w ojczyznie!

W.

Witwicki

POJEDYNEK W GREAT WINGLEBURY.

ZDARZENIE PRAWDZIWE

Z ANGIELSKIEGO DICKENSA.

Dokończenie.

— Panie Overton, zawołał Trott w najgwałtowniejszem uniesieniu spiesząc naprzeciw wchodzącego... Spojrzyj pan na tego tu człowieka; pomyśl w jakiem ja zostawałem położeniu od trzech nieskończenie długich godzin; człowiek którego dla pilnowania mnie przysłałeś, jest zapalczywy, wściekły, zbójecki szaleniec.

— Brawo! poszepnął mu do ucha Overton.

— Ach biedny młody człowiek! wyrzekła litościwa gospodyni: wariaci zawsze drugich poczytują za wariatów.

— Biedny młody człowiek! zawołał Eugeniusz Trott, cóż u licha chcesz asani przezto rozumieć? Jesteśże gospodyni tej oberzy?

— Tak jest, odrzekła miss Wiliamson; zachowaj

się spokojnie mój młody kochany panie, miej wzgląd na zdrowie swoje.

— Zachować się spokojnie, do kroćset diabłów, krzyczał rozjątrzony Trott, jużem i tak długo siedzieć musiał spokojnie, i przed trzema godzinami przez tę-to jednooką poczwarę, o małom co do wiecznego spokoju niezostał wyprawiony. Jakże asani ważysz się trzymać w domu wariata, który gości przestrasza i życiu ich zagraża.

— Ja odtąd nigdy żadnego w dom mój nieprzyjmę; odrzekła miss Williamson, poglądając z wyrzutem na burmistrza.

— Kapitalnie, kapitalnie, poszepnął znowu Overton w ucho Trotta, pomagając mu do wciągnięcia ciepłego podróżnego płaszcza.

— Kapitalnie sir! krzyczał Trott, raczej okropnie straszliwie; dreszcz mię porywa na samo wspomnienie. Jużbym wolał w trzech godzinach cztery odbyć pojedynki, rozumie się gdybym trzy pierwsze przeżył; niżeli raz jeszcze siedzieć tak długo na przeciwko wariata.

— Dobrze, dobrze, poszepnął znowu Overton utrzymuj pan swoją rolę do końca, rachunek zapłacony, tłumoki w dyliżansie.

— Ten pan już gotów, dodał głośno skinąwszy na pachołków.

Pachołcy otoczyli w okamgnieniu Trotta, jeden ujął go za prawą, drugi za lewą rękę, trzeci szedł naprzód z latarnią, a czwarty za niemi, stróż i miss Williamson składali straż tylną; tak został Eugeniusz Trott sprowadzony ze wschodów, a w ciągu tego procesyjnego transportu, wygłaszał na przemiany piorunującym basem, udaną niechęć swoją do wyjazdu, i nieudany gniew iż go na tak długi czas zamknięto z wariatem.

Overton udał się był naprzód i czekał przy drzwiczkach powozu, gdzie też zgromadził się tłum kelnerów, furmanów, dziewcząt posługujących itd. aby widzieć jak będzie odjeżdżał młody pan cierpiący pomieszanie zmysłów. Eugeniusz Trott stanął jedną nogą na stopniu karety, gdy słaby promień latarni oświecił w tej chwili głębie tejże, i ukazał oczom jego starannie osłonięta postać ludzką.

— Ktożto jest! zapytał z cicha Overtona.

— Pst, pst! wkrótce się o tem dowiesz. Ale hałasuj trochę, opieraj się, wzbudzimy podejrzenie, szeptając dłużej do siebie.

— Jabo niechcę jechać w tym dyliżansie, krzyknął Trott, którego nagle objął strach i podejrzenie aby go w nowe niewprawiono niebespieczeństwo. Jeszcze wkońcu gotowi mię zamordować.

— Brawo, brawo, poszepnął Overton, teraz popchnę cię do dyliżansu.

— Ależbo ja niechcę jechać. Ratunku, ratunku! krzyczał Trott; uprowadzają mię naprzeciw mej woli; to spisek na życie moje!

— Ach biedny młody człowiek! zawołała powtórnie miss Williamson.

Burmistrz z pomocą pachołków popchnął Trotta do dyliżansu, zamknął za nim drzwiczki powozu i zawołał:

— Ruszaj teraz co konie wyskoczą i niezatrzymuj się nigdzie, bądź co bądź aż do najpierwszej stacii.

— Konie są zapłacone Tom, zawołała miss Williamson, i jakby na skrzydłach burzy popędził czwałem dyliżans unosząc pana Eugeniusza Trott i miss Julią Manners.

Przez pierwsze dwie lub trzy mile angielskie, pan i pani w dyliżansie, każde w swoim kąciku, siedzieli cicho i nieporuszenie, jak najgłębsze zachowując milczenie. Nakoniec poczęła miss Julia Manners stopniowo bliżej przysuwać się do pana Eugeniusza Trott który w tymże stopniu dalej i jak mógł najdalej usuwał się w swój kącik czyniąc przytem nadaremne usiłowania przedrzeć wzrokiem otaczające ich ciemności by zapalczywe rysy Horaciusza Hunter rozpoznać.

— Możemy teraz mówić, ozwała się nareszcie dama, przerywając pierwsza milczenie; pocztyliony ani nas widzieć ani słyszeć niemogą.

— To nie jest głos Huntera; pomyślał zadziwiony Eugeniusz Trott.

— Kochany lordzie Peter! mówiła dalej miss Julia w pieszczotliwym tonie, i oparła przytem poufale dłoń swoją na ramieniu Trotta; kochany lordzie Peter! czyliż ani słówka dla mnie nie masz?

— A to doprawdy kobieta! zawołał Trott zcicha w największem zadziwieniu.

— Ach czyjżeto głos? wyrzekła miss Julia, niejest to wcale głos lorda Peter.

— Nie! to jest mój głos, odparł pan Trott.

— Jakto?... co? wykrzyknęła miss Julia Manners, człowiek obcy! litościwe nieba! jakże asan dostałeś się do tego powozu?

— Ktokolwiek jesteś pani, mogłaś o tem najdokładniej wiedzieć, iż ja przeciwko mej woli tu się dostałem, odrzekł Trott, czyliż nieopierałem się i niekrzyczałem dość głośno gdy mię gwałtem do dyliżansu wsadzano.

— Czy pan przybywasz od lorda Peter? zapytała miss Manners.

— Niech go kaci porwą! odparł nieukontentowany Trott, ja nie znam żadnego lorda Peter... niesły-

szałem nigdy o lordzie Peter aż do dzisiejszego wieczora, w którym tak nadmiarę lord peterowany byłem, iż w końcu zacząłem wierzyć, że albo doprawdy zwariowałem albo mi się to wszystko śniło....

— Gdzież my więc jedziemy? zapytała dama w tragicznym tonie.

— A jakże ja o tem wiedzieć mogę? odparł Trott z tajonym gniewem.

— Czekaj, czekaj! wykrzyknęła dama wychylając głowę z przedniego okienka dyliżansu.

— Wstrzymaj się trochę moja droga pani wyrzekł Trott, zamknął nazad okno lewą ręką a prawą ścisnął zlekka rękę miss Julii. Tu zachodzi jakoweś nieporozumienie. Pozwól niechaj z mej strony wytłumaczę się nieco; musimy aż do najbliższej stacii jechać razem; wszakże w nocy w środku gościńca nie możesz pani wysiadać i pozostać samą.

Dama przystała na to, i wkrótce zostały wyjaśnione nieporozumienia z zadowolnieniem strony obojej. Pan Trott był młodym człowiekiem, posiadał wiele obiecujące wąsy, nienaganny krój sukni i układną postać; brakowało mu tylko na odwadze, lecz cóż znaczy ta bagatelka, gdy kto pochlubić się może rocznym dochodem kilku tysięcy funtów szterlingów? To, i więcej jeszcze posiadała dama; jej potrzeba było młodego męża, a pan Trott utracony honor, mógł jedynie odzyskać przez bogatą żonę. Przyszli nareszcie do tej ostatecznej decyzii, iż byłoby wielką szkodą, ponosić te wszystkie trudy i wydatki, nadaremnie, i że najlepiej będzie, gdy już tak długo z sobą jechali udać się razem do Gretna-Green i tam się połączyć. Co też i uczynili. Wkrótce po tej czułej parze, notariusz z Gretna-Gren, na swych szlubnych regestrach naznaczył imiona Emilii Brown i Horaciusza Hunter. Hunter zawiózł żonę do domu swego, błagał i otrzymał przebaczenie, i Trott również zawiózł swoją damę do siebie i również otrzymał u ojca przebaczenie. Lord Peter którego w miłośnej wyprawie zatrzymał klub i szampan, udał się z bezowocnej do Winglebury wizyty na powrót do swojego przyjaciela lorda Augusta Haiz; odbył jeszcze jedne kursa spadł z konia i kark skręcił. Horaciusz Hunter chlubił się tem nie mało iż tchórzostwa Trotta tak zręcznie użył do zapewnienia swego szczęścia. Całe to zdarzenie rozgłosiło się wkrótce, a jeżeli kiedy kochany czytelniku los zaprowadzi cię do Winglebury, usłyszysz tam radnierad opowiadanie wszystkich szczegółów sławnego pojedynku w Winglebury Wappen tak zupełnie i wiernie jak ja ci go właśnie opowiedziałem.

Jak dalece angielski xiąże Albert stara się być popularnym, widzieć to można z następującego doniesienia wyjętego z dzienników angielskich, a umieszczonego w gazecie powszechnej augsburskiej z dnia 11. maja r. b. w nr. 131. Londyński cech krawiecki i handlujących sukniami udzielił xięciu Albertowi prawo na honorowego majstra krawiectwa. Xiążę ten przyjął je chętnie, złożył osobiście przysięgę w bursie krawieckiej, i znajdował się na śniadaniu, które tamże z powodu tej uroczystości dano dla niego.

Z numerem następnym kończy się prenumerata na pierwsze półrocze dziennika, o czem uwiadamia się szanownych prenumeratorów, aby ci którzy życzą sobie trzymać i nadal ten dziennik, wcześnie zamówić go na drugie półrocze, w redakcii lub w urzędach pocztowych, raczyli.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.